Dodatek do N. 32 „Prawdy".

RODZINA
PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 16. Sobota, dnia 8-go Sierpnia. **Rok 1908**

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Taki zapał malował się na poczciwej twarzy wieśniaka, taki ogień płonął w jego blado-niebieskich oczach, że Izydor ze szczerem wzruszeniem uścisnął podaną rękę.

— Jeśli wszyscy Alzatczycy tak myślą, Prusacy z pewnością nie zabiorą Alzacyi, — rzekł z przekonaniem głębokiem.

Tymczasem pociąg posuwał się dalej, mijając wzgórza i doliny, zielone kobierce łąk i stare liściaste lasy. Izydor zachwycał się tymi nowymi dla siebie widokami, z rozkoszą oddychając świeżem i czystem powietrzem wsi, znanej mu dotąd tylko ze słyszenia.

W południe wieśniak otworzył swój koszyk i zaprosił Izydora do wspólnego posiłku. Ale młodzieniec odmówił.

— Daj-no pan pokój, — zawołał urażony gospodarz, — znam ja żołnierskie kieszenie. Co masz, schowaj na później; kto wie, co jutro przyniesie.

I podał mu nalany kieliszek.

— Niech żyje Francya! — zawołał młody żuaw.

— I jej siostra Alzacya — poprawił wieśniak z powagą. — A brońcie jej dobrze, dzieci.

Przyjaźń została zawartą, wspólna miłość kraju złączyła tych ludzi, tak różnych pochodzeniem i wiekiem.

Ojciec Kaufmann szczegółowo opowiedział towarzyszowi podróży historyę całej swej rodziny. Miał trzech synów i trzy córki. Chłopcy wstąpili do wojska.

— Poznasz pan nas bliżej niezawodnie — rzekł w końcu — bo wiem, że stać macie czas jakiś niedaleko Hagenau. Zapytaj pan tylko o właściciela folwarku czterech pól — dodał serdecznie. — Jest tam wprawdzie trochę więcej niż 4 pola, ale tak się moja posiadłość nazywa.

W Strasburgu pożegnali się wreszcie, a Izydor pośpieszył do koszar.

Na podwórzu spotkał dyżurnego kapitana, któremu oddał swój bilet.

— Cóż to, rekrut? — zawołał oficer, rzuciwszy okiem na papier. — Pańskie miejsce w Afryce.

— Mam list od komendanta Inwalidów do pułkownika.

— To co innego. Udaj się pan do pułkownika.

„Udaj się do pułkownika!" — łatwo to powiedzieć! Izydor nie wiedział, gdzie ma się obrócić, a przytem tak był przestraszony myślą, że mogą go odesłać do Paryża, stamtąd do Afryki, iż nogi uginały się pod nim. Na dziedzińcu żołnierze stali gromadkami, oficerowie wydawali rozkazy, ordynansi przebiegali podwórze. Wobec tych zbronzowiałych pod zwrotnikiem twarzy, Izydor czuł się tak białym, wątłym i nikłym, że wstyd mu było samego siebie.

— Pan pułkownik w koszarach? — zdecydował się wreszcie zapytać jednego z przechodzących żołnierzy.

— Tak.

— A gdzie?

— W pokoju.

— Gdzież to?

— Na pierwszem piętrze. Jakiż głupi ten mały!

Izydor zebrawszy całą odwagę, udał się we wskazanym kierunku i znalazł się wkrótce w wielkiej, sklepionej sali.

Kompania żuawów stała pod bronią.

— Dziś jeszcze wszystko ma być w pogotowiu — mówił donośny głos męski — jutro wyruszamy. Kapitanie Bertrand, poruczam to panu.

Pułkownik kończył inspekcyę. Spostrzegłszy Izydora, zwrócił się ku niemu i zapytał:

— Czego chcesz? Jakiem prawem wszedłeś pan tutaj podczas przeglądu?

— Przynoszę list od komendanta Inwalidów.

— Aha! Dajże.

Izydor podał pismo, pułkownik przeczytał je uważnie.

— Jak to, to ciebie widziałem u generała? — zapytał. — Jesteś żuawem, ty, taki dudek? Ależ to niemożliwe! Jak się to stało, że nie odesłali ciebie do Afryki? Trzeba, żebyś skończył kursa.

Izydor uczuł łzy w oczach. Widział się już w Algierze, bezczynnym podczas całej wojny.

— Panie pułkowniku, — rzekł głosem drżącym, — skończyłem szkołę dzieci żołnierskich... Błagam, niech mię pan nie odsyła!

— Ależ mój chłopcze, nie byłeś nigdy w ogniu, możesz się bać, a to hańba dla całego pułku. Nikt jeszcze nie widział żuawa, uciekającego z pola bitwy.

— Nie opuszczę nigdy mego stanowiska, panie pułkowniku! Mój opiekun Gaveau, były sierżant I-go pułku żuawów, nagrodzony krzyżem, własnym honorem ręczy za mnie.

— Gaveau — wtrącił jeden ze starszych kapitanów, — pamiętam. Ocalił prochownię, zuch, dzielny żuaw.

— No, — rzekł pułkownik, — pozostań skoro masz takich protektorów, ale pamiętaj, żebym tego nie żałował! Kapitanie Collet, oddaj go w ręce instruktora, niech go umunduruje i nauczy rzeczy koniecznych; reszta znajdzie się w drodze.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Izydora. Stało się: został przyjęty. Teraz go już nie wyślą do Afryki!

— Ciekawym, jak mię ubiorą? — myślał uśmiechając się z dumą.

Była to rzecz starego instruktora, Bussarda. Kiedy chodziło o przerobienie rekruta na żołnierza, jemu powierzano tę czynność. On ich zwykle tresował, — stylował — jak się wyrażano w pułku, nadając im tę dziarską, zawadyacką nieco powierzchowność, jaką się wyróżniają żuawi. Uczył ich także mustry, zachowania się we froncie i fechtunku, wdrażał do karności i dyscypliny, co nadawało mu wielką wobec nich powagę.

Tym razem jednak nie było czasu na tak skomplikowaną metodę. Wybrano dla Izydora mundur, który na szczęście nie potrzebował poprawki, włożono mu turban na głowę, stary Bussard pokazał, jak pas wiązać, i na tem się skończyła teorya. Reszty miała dokonać praktyka.

Pomimo to rekrut nie raził nikogo, a instruktor patrzał na niego z widocznem zadowoleniem.

— Słuchaj-no, chłopcze, — rzekł mu przed samym wymarszem, — w drodze trzeba umieć ze wszystkiego korzystać: znajdziesz kawałek drzewa, bierz go, przyda się na podpórkę do namiotu; tak samo stary korek. Miej przy sobie zawsze zapałki i kawałek szpagatu, zastąpi ci on nieraz sznurowadło u trzewika.

— Mam cały kłębek szpagatu, — zauważył Izydor.

— Doskonale, znać zaraz naukę starego Gaveau. Znałem go, chociaż wychodził już z pułku, kiedy ja wstępowałem. Zuch był nielada, prawdziwy żuaw!

Pierwszy pułk żuaawów wymaszerował ze Strasburga w nocy 26 lipca, przeszedł, nie zatrzymując się, przez Hagenau i po południu 27 rozłożył się obozem na wysokości Reischoffen. Batalion, do którego zaliczono Izydora, składał się z samych starych żołnierzy, i młody rekrut, porównywując swoją bladą cerę z ich ogorzałemi twarzami, był onieśmielony towarzystwem tych zahartowanych i osiwiałych w boju wiarusów. Wstyd mu było własnej młodości i niedoświadczenia, gładkiej twarzy i ciemnego puchu, dopiero ukazującego się na górnej wardze. Przezwano go tu „jeleniem“, i nikt nie nazywał go inaczej. Pomimo to przecież, kiedy po raz pierwszy znalazł się pod namiotem w towarzystwie czterech innych żuawów, uczuł się niezmiernie dumnym. Wiedział, że wojna już się rozpoczęła, nieprzyjaciel przekroczył granicę, i że lada chwila można było oczekiwać spotkania. Wiedział także, iż nie wyślą go już do Algieru, i myśl, że on, nowozaciężny rekrut, zamiast wegetować w koszarach lub uczyć się mustry pod osłoną fortecy, znajduje się na placu boju, głaskała jego miłość własną i młodocianą ambicyę. Paryż, dom, wygodne łóżko i inne dogodności życia — zostały zapomniane bez żalu.

Rozpoczęły się rekonesanse.

— To dla przyzwyczajenia wojsk, — mówiono w pułku.

Trwały one nieraz bardzo długo i bywały strasznie męczące. Izydor w szczególności odczuwał całą uciążliwość tych długich, forsownych marszów z tornistrem na plecach, do którego nie miał czasu przywyknąć.

Z rana 4-go sierpnia stary Bussard przechodząc koło niego, rzekł:

— No, jeleniu, będziemy dzisiaj biwakowali w Laubachu. Mówią, że wkrótce rozpocznie się taniec. Zobaczymy, jaką będziesz miał minę, kiedy kule zaczną świstać koło uszu.

— Nie wiem, — odparł młodzieniec, — lecz będę się starał naśladować mego przyjaciela Gaveau.

— Dobrze powiedziane! A pamiętaj o ładunkach.

Droga była długą i upał dokuczał straszliwie. Żuawi szli przez pola, okryte chmielem i rzepakiem. Na liściach roślin ciążyła gruba warstwa pyłu, a grunt zapadał pod nogami. Po kilkugodzinnym uciążliwym marszu pułk znalazł się wreszcie na miejscu przeznaczenia. Wydobyto kotły i zaczęto je nastawiać; żołnierze udali się po gałęzie i drzewo, — wkrótce obiad był gotów.

Nagle rozległ się tętent galopującego konia i oficer głównego sztabu, zakurzony, okryty potem — wpada w sam środek obozu.

— Pułkownik Carteret-Trecourt...

Prowadzą go do pułkownika.

Oficer salutuje, lecz nie zsiada z konia.

— Generał Due przysyła mię z żądaniem pomocy. Prusacy przenoszą nas liczbą... Jeśli nie pospieszysz, pułkowniku, generał będzie zmuszony opuścić pozycyę. Kierunek na Wissemburg.

I nie czekając odpowiedzi, zawraca konia i oddala się w pełnym galopie.

W tej samej chwili daleki odgłos bitwy dosięgnął wreszcie miejsca, na którem obozowano; huk dział, jak huk gromu, potężnie wstrząsa powietrze.... Żołnierze wywracają kotły, chwytają broń... Słychać sygnał.... jeszcze chwila — i pułk żuawów w batalionowych kolumnach rusza z miejsca krokiem podwójnym.

W szeregach cisza: ustał szmer rozmów, umilkły gawędy, myśl zastąpiła słowo. Chwila jest uroczystą. Żołnierze wiedzą, że od nich zależy los bitwy. W głębokiem milczeniu posuwają się naprzód, jednem ożywieni pragnieniem: zgnieść nieprzyciela, zabrać mu niewolnika i sztandary, i wygnać poza granicę ukochanej Francyi. O zwycięstwie nikt nie powątpiewa.

A śmierć?

I któżby troszczył się o to? Cóż znaczy śmierć jednostki tam, gdzie giną tysiące, gdzie idzie o honor i całość ojczyzny? Takich tchórzów niema

między żuawami! Zresztą — czyż wszystkie kule zabijają?

Pułk posuwał się szybko, kierując na odgłos bitwy. Huk dział i suchy trzask ręcznej broni dochodził coraz wyraźniej; zdawał się jednak słabnąć. Jeszcze jeden adjutant pochylony na siodle pędzi ku nim galopem.

— Pułkowniku! — woła głosem ochrypłym, — masz zająć wzgórza po prawej stronie rzeki. Jesteśmy rozbici. Druga dywizya rozpoczęła odwrót, rezerwy w ogniu, generał Due zabity. Cofamy się na wszystkich punktach; Prusacy zgnietli nas liczbą. Jest ich 80 000, nas było tylko 20 000.

Odwrót? Druga dywizya rozpoczęła odwrót? Co to ma znaczyć? To niepodobna! Druga dywizya — kwiat armii!

Pod takiem wrażeniem pospieszano dalej.

XIV.

Smutne doświadczenie.

Pierwszy p.:k żuawów, dosięgnąwszy szyi wąwozu pod Pigeonnier, zatrzymał się dla powzięcia wiadomości. Bitwa była skończoną. Rozpoczął się odwrót. Prusacy nie ścigali 2-giej dywizyi i ograniczyli się na zajęciu silnych pozycyi z przeciwnej strony wąwozu. Gęste masy piechoty nieprzyjacielskiej rozpościerały się szeroko, jak wielka, szara plama na jasnem tle krajobrazu. Kaski ich błyszczały w promieniach letniego słońca, a gwar i szum tych tysiącznych zastępów dochodził aż do miejsca, na którem stali żuawi. Adjutant nie przesadzał, obliczając siły nieprzyjacielskie no 80 000. Przez całą noc słychać było miarowe kroki piechoty, tętent kopyt końskich i głuchy huk toczących się armat i wozów. W obozie francuskim panowała cisza; żołnierze byli smutni, lecz nie zdemoralizowani; był to odwrót, nie ucieczka. Generał Due znajdował się między poległymi; mówiono, że widząc bitwę przegraną, sam szukał śmierci, narażając się dobrowolnie, aż padł wreszcie przeszyty kulą.

Izydor oniemiały ze zdziwienia, zgnębiony, osłupiały, nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co zaszło. Przez ośm lat z rzędu słuchając opowiadań sierżanta, — opowiadań fantastycznych, jak stare legendy, przyzwyczaił się uważać sławę wojenną Francyi za niedościgłą, a wojska jej za niezwyciężone. I oto przy pierwszem spotkaniu widział te niezwyciężone wojska ustępujące z placu, a głębokie masy Prusaków wdzierające się do jego rodzinnego kraju i rozlewające szeroko po obydwu brzegach Lauteru. Cóż to miało znaczyć? Czyż Gaveau kłamał? Nie. — A więc tradycyjna waleczność Francuzów przeszła widocznie do historyi, stała się mitem? I to nie, gdyż Izydor widział czerwone i zielone linie mundurów, odbijające jaskrawo od szarego tła ziemi, zmieszane razem, rozpostarte na pochyłościach wzgórzy; to ciała poległych, świadczące o zażartej walce. W niektórych miejscach trup padał tak gęsto, że z ciał wojowników formowały się całe stosy, zakrywające zupełnie ciemną barwę ziemi.

Przed samym wieczorem stary żuaw z drugiej dywizyi, dążąc za swoim korpusem, wstąpił do obozu. Wyglądał na strasznie zmęczonego: twarz miał czarną od prochu, głos ochrypły. Zażądał pić. Boussard podał mu manierkę z wódką.

— Cóż to, jesteśmy pobici? — pytali żołnierze.

— Tak to wygląda, ale Prusacy nie mają się z czego cieszyć. Byli w przeważającej liczbie. Na miejsce tych, którzy padli, przybywali inni. Do djabła! człowiek ma przecież tylko dwie ręce, choćby nawet był żuawem! Trzeba było ustąpić, do kroćset! przy pierwszem spotkaniu — to smutnej

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAK RZĄDZIC DOMEM?

Umiejętność spełniania zajęć domowych.

Gruntowne porządki w domu.

Są rzeczy w domowem gospodarstwie, które wymagają ciągłego utrzymywania ich w porządku i staraniu, inaczej prędko się niszczą. Dlatego więc gruntowne opatrywanie jest nieodzowne, a czas najodpowiedniejszy ku temu jest Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Narodzenie, a czasem wczesna jesień. Porządki zaczynają się od góry, t. j. od strychu. Zatem najpierw wynosi się wszystkie sprzęty, bieliznę i suknie, a następnie omiata pułap, belki i ściany, następnie wietrzy pudełka, szufladki, poprzednio wytarte, układa się potem ich zawartość a potem jeszcze obciera się z wierzchu. Ażeby powietrze z kurzu należycie oczyścić, trzeba przed zamiataniem podłogę skropić z terpentyną; na wiosnę (marzec i kwiecień) i w jesieni (wrzesień i październik) należy zwrócić uwagę na znajdujące się w składach i strychach suknie i ubranie, ażeby je uchronić od moli i robactwa; szczególniej mieć na oku materace poduszki, kołdry, stare meble, gałganki i t. p., wietrzyć je i omiatać. W pokojach zachowuje się następujący porządek przy sprzątaniu:

Najpierw należy zdjąć ze ścian obrazy i lustra; firanki i wszystkie ruchome przedmioty, meble od ścian odsunąć; obmieść sufit i ściany, okrywszy błyszczące przedmioty na nich zawieszone. Piece, okna, drzwi, szafy wytrzeć wilgotną szczotką zewnątrz, wewnątrz umyć, łóżka wywietrzyć, wytrzepać pościel w dniu pogodnym, co do pościeli z pierza nie należy wystawiać jej na słońce, ponieważ pierze kruszy się od gorąca i rozpada. Samo łóżko wewnątrz, (jeżeli można) rozebrąwszy go na części, gorącą wodą lub ługiem dobrze wymyć. Politurowanych mebli nie można myć ani wodą gorącą ani ługiem. Wystarczy wytrzeć suknem i terpentyną. Ażeby przywrócić połysk, bierze się spirytus z olejkiem migdałowym lub oliwą i watą owiniętą w płótno naciera. Powraca to wygląd nowości. Jeżeli tapety są poplamione, należy je oczyścić za pomocą benzyny. Ramy złote pięknie się odczyszcza sokiem cebulowym z dodaniem octu winnego; cebula oczyszcza, ocet przywraca złoty połysk. Po pokojach następują porządki w kuchni. Tu należy wszystko z większą jeszcze starannością oczyszczać, tyczy się to też schodów i przedsionków. Kuchnia powinna być raz do roku bielona.

Tępienie robactwa.

Nietylko w czasie ogólnego porządku, ale zawsze, szczególniej na wiosnę, powinno się zwracać uwagę na robactwo: w szafach i komodach ze względu na mole, w sypialnym pokoju na pluskwy. Przy najmniejszym śladzie powinno się je natychmiast tępić. W tym celu rozbiera się łóżko na czę-

ści, szoruje się naftą wgłębienia i otwory, przez które robactwo wychodzi, a gdy się je wyniszczy, należy całe łóżko wymyć wodą z ługiem i każdą szparę zalać naftą. W mieszkaniu, w którem się robactwo łatwo gnieździ, powinno się powyższą operacyę co tydzień powtarzać. Jeżeli pluskwy zagnieździły się już w ścianach, wtenczas niema innego środka, jak tapety lub tynk zeskrobać, wszystkie szpary zalepić i na nowo wapnem zatrzeć. Lepiej jest jednak w takich pokojach tapet nie używać. Na wytępienie pcheł zaleca się do mycia podłogi i czyszczenia łóżek wodę ałunową; zamiast ałunu, użyć można salmiaku. Ażeby się pozbyć much, jest bardzo dobrze do smarowania ścian użyć ałunu rozpuszczonego w wodzie. Muchary (grzyby), nalane piwem na pół z wodą, doskonałą są przynętą. Deszczułki, pociągnięte lepem na muchy, są bardzo skuteczne, ale z powodu przykrego zapachu niemiłe, szczególniej w kuchni, bardzo jednak dobre w stajni. Przeciwko rusom lub karaluchom dobrze jest wszystkie szpary koło pieca i ścian zalepiać, pozostawiając odstępy; w pobliżu zaś umieścić miskę z piwem. Zwabi ich zapach tego ulubionego napoju, a dostawszy się tam, nie mogą już wyjść. Przeciwko molom najlepiej kamforę, zawiązaną w szmatkę między suknie włożyć, można też kamforę rozcieńczyć w terpentynie lub w spirytusie i tem skrapiać rzeczy; naftalina w proszku, zawiązana w szmatkę, jest także zalecana. Najprostszym środkiem jest nieokwitnione bagno (dziki rozmaryn) i smolne drzazgi, zawiązane w pęczki i włożone między suknie; stare gazety także odstraszają mole, które nie lubią zapachu farby drukarskiej. Mrówki tępią się w ten sposób, że w miejscach, gdzie najwięcej się one schodzą, sypie się siarkę z cukrem, lub robi się z niej małe kopce. Najlepszym jednak środkiem przeciw robactwu jest wszędzie staranne zachowanie czystości.

Czego dzieci słyszeć i widzieć nie powinny.

Nieostrożność i nieuwaga, z jaką często starsi w obecności dzieci rozmawiają o rzeczach poufnych, albo drażliwych, lub wręcz nieprzyzwoitych, bywa często przyczyną wielu wad i uchybień dzieci.

Jeżeli starsi mówią złośliwie lub szyderczo o znajomych i krewnych, jeżeli nawet ułomności ich fizyczne lub moralne omawiają, — można być pewnym, że dzieci obecne takiej rozmowie, pochwycą te słowa, zachowają je w pamięci i na swój sposób zużytkują. Nauczyły się krytykować i lekceważyć drugich, zanim pojęły, co znaczy poznać i krytykować samego siebie. Niech raczej uczą się w każdym człowieku dopatrzyć stron szlachetniejszych, uznać je i uszanować.

Grzeszą także rodzice i starsi, mówiąc w obecności dzieci o występkach, przeciw moralności, rozwodząc się nad rozmaitymi rodzajami rozpusty i jej skutków. Nie powinny słyszeć takiej mowy uszy dziecięce, przez uszy bowiem owe słowa nie zrozumiane, lecz na wpół uczuwane wyobraźnią dostają się do umysłu, wytwarzają w nim gorączkowe zaciekawienie. Żywa i bujna wyobraźnia dziecka zaczyna pracować, odgaduje, domyśla się i mały człowiek staje się przedwcześnie dojrzałym w tych rzeczach właśnie, które mu powinny pozostać nieznanemi.

Jeżeli zaś w rodzinie zdarza się okazya, że koniecznie dziecko potrzeba objaśnić, co się dzieje, n. p. urodzenie dziecka, chorobę matki, jej boleści, wtedy uczynić to należy z całą powagą i prostotą, jaka przystoi rzeczom wielkiego znaczenia. Niewłaściwe tu będą zatem owe żartobliwe opowiadania, o bocianie, który przynosi dzieci i. t. d. Kłamstwo bowiem, zawsze jest naganne i szkodliwe, chociażby nawet jak w tym razie cel jego był szlachetny a forma tak niewinną i ponętną. Wystarcza dzieciom powiedzieć, że Bóg dał ludziom dzieciątko, że rodzeństwo bardzo kochać je powinno, że mama bardzo zmęczona płaczem dziecka, karmieniem i czuwaniem zachorowała, lecz wkrótce wyzdrowieje i t. d.

Takie objaśnienie uspokoi na razie ciekawość dzieci, ale powtarzam, zachować tu należy koniecznie dużo powagi, aby zapobiedz wszelkim żartom i niewczesnym uwagom. Sama przyzwoitość wymaga, aby dzieci nie widziały czynności spełnianych przy położnicy, obowiązkiem zatem rodziców dzieci odddalić z pokoju, zająć czemkolwiek, co się da uskutecznić nawet w bardzo ciasnem mieszkaniu. Jeżeli zaś dzieci starsze, jak to nieraz się zdarza, próbują pouczać młodsze, udzielając im wiadomości pochwyconych w rozmowach starszych, nie należy tego karcić zbyt surowo, a tem mniej karać, gdyż tu nie ma w dzieciach złej woli, lecz poważnie skierować myśli i uwagę dzieci na jakiś przedmiot ciekawy i poważny.

Wogóle w tych rzeczach z natury swej tak delikatnych, które będąc naturalnemi i koniecznemi nie mogą być czemś zdrożnem, potrzeba wielkiej roztropności rodziców i osób starszych. Dużo się wprawdzie mówi i pisze o potrzebie uświadomienia młodzieży i w kołach nauczycielskich zastanawiano się obszernie nad tą sprawą, dla tego uważamy za stósowne zabrać głos w kwestyi uświadomienia i zaznaczyć, że przeciwni jesteśmy wszelkim przedwczesnym objaśnieniom, lecz nie uważamy za dobre osłanianie prawdy życia i tajemnic natury naiwnemi bajkami i dowcipami.

Wielce niestósownemi są także takie uwagi rodziców: „ach, gdybyśmy dzieci nie mieli, o ileżby nam było łatwiej!"

Dziecko więcej rozwinięte i myślące, zastanawiając się nad taką uwagą, dojdzie do wniosku, że dzieci są nieszczęściem dla rodziców. Myśl ta oczywiście nie przyczyni się do spotęgowania jego miłości i szacunku dla rodziców — a nawet, co gorsza, może w nim zrodzić gorycz i niechęć do życia. Jakże wielkiem przeto jest złem niebaczne, niestósowne słowo rodziców. **M. Gońska.**

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci,
Mnóż się ty jeden przez czynów tysiące,
A będzie z ciebie jednego — tysiące.

Krasiński.

Nakładem redakcyi „Prawdy". Kraków. — **Czcionkami „Katolika".** spółki wyd. z ogr. odp.. Bytom.